



DOWN SHIFT

SERIA
Driven

Bez hamulców

K. BROMBERG

BESTSELLEROWA AUTORKA „NEW YORK TIMESA”

 **editored**

Tytuł oryginału: Down Shift

Tłumaczenie: Grzegorz Rejs

ISBN: 978-83-283-3140-2

Copyright © 2016 by K. Bromberg

Penguin supports copyright. Copyright fuels creativity, encourages diverse voices, promotes free speech, and creates a vibrant culture. Thank you for buying an authorized edition of this book and for complying with copyright laws by not reproducing, scanning, or distributing any part of it in any form without permission. You are supporting writers and allowing Penguin to continue to publish books for every reader.

SIGNET SELECT and its colophon are trademarks of Penguin Group LLC.

Polish edition copyright © 2017 by Helion SA

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Prolog

Zander

Krew.

Jest tyle krwi. Pokrywa moje ręce. Przesiąka przez spodenki od pizamy z rysunkiem Scooby-Doo. Te z dziurą na kolanie, które dostałem od tamtej milej pani z Armii Zbawienia w śmiesznych okularach.

Łatwiej jest myśleć o niej. Skupić się na niej zamiast na krwi.

Jest wszędzie. Nie przestaje się wydostawać. Rozprzestrzenia się.

Nie chce się zatrzymać.

Nie potrafię jej zatamować.

Kurz tańczy w powietrzu. Drobin pyłu unoszą się w promieniach światła, które wpadają do pokoju hotelowego przez szczelinę w roletach. Mam rozmyty obraz przed oczami i zmęczony umysł.

I jestem na rauszu. To zamroczenie alkoholowe jest lepsze niż sny, które nie przestają mnie dręczyć. Sny, które tak naprawdę nie są już snami. Pojawiły się w chwili, gdy otworzyłem tamto pudełko kilka tygodni temu i wyjąłem z niego kawałek papieru, który zachwiał moim światem.

Unoszę do ust butelkę Jamesona. Pociągam łyk, ale nie czuję ognia. Jedynie chwilowe ciepło. To jednak wystarczy, by stępić umysł. By zatrzeć sny.

By odsunąć od siebie prawdę.

Plastry. Są wszędzie. Pudełko jest już prawie puste — białe kawałki, które odrywam, przyklejają mi się do rąk. Ale nie pomagają. Krew wciąż cieknie. Nie chce się zatrzymać.

Nie potrafię jej zatamować.

Kolejny łyk. I jeszcze jeden.

Jestem taki zmęczony i mam już tego dosyć. Mam dosyć zastanawiania się nad tym, czy moi przybrani rodzice wiedzieli. Oczywiście, że wiedzieli. Dlaczego mnie okłamywali? Czyż nie miałem prawa wiedzieć, co zawierał tamten dokument? Żeby się z tym pogodzić? Zmierzyć?

Kurwa, tak. Kurwa, nie. Sam już nie wiem.

Kolejny łyk. A potem duży haust.

Nożyczki. Błysk metalu leżącego obok niej. Ciemna czerwień przecieka mi przez palce, gdy próbuję zamknąć jej rany dłońmi. Pomóc jej. Uratować ją. Zatamować. Krew.

Ogarnia mnie strach. Wołam przerażony. Czuję bezradność.

Skoro pamiętam to wszystko, dlaczego nie pamiętam, czy zrobiłem to, czy nie. To musiałem być ja. Tak było napisane w raporcie. Dlaczego miałiby kłamać?

Ale zaraz. Pojawia się światło słoneczne. Widzę tańczący kurz. Kiedy to się stało?

Unoszę butelkę. Jest już pusta. Wydaję z siebie zrezygnowane westchnienie i osuwam się z powrotem na fotel. Teraz już nie potrafię zapamiętać. *Kurwa.*

Zrywam się na odgłos walenia do drzwi. Powinienem był się tego spodziewać. Wiem, że znowu zawałem. Ale czy to ma jakiegokolwiek znaczenie w obliczu tego wszystkiego?

Wiem kto to, zanim jeszcze się odzywa. W jakiś sposób wiedziałem, że mnie znajdzie. Tak samo wiem, że będzie wkurwiony, nawet zanim słyszę jego głos.

Mam to gdzieś.

— Zander! — Łup. Łup. Łup. Odgłos walenia pięścią w drzwi rozbrzmiewa mi w głowie niczym piorun.

— Otwieraj! — Łup. Łup. Łup. — *Otwórz te cholerne drzwi!* — Kiedy je otwieram, światło w korytarzu jak błyskawica oślepia moje oczy, które zdążyły przywyknąć do mroku. Próbuję bezskutecznie osłonić je przed rażącym światłem, zanim on blokuje je swoim ciałem.

Colton.

Mój mentor. Mój szef. Ktoś, kto zna mnie najlepiej.

Mój tata. No cóż, przybrany tata, ale czy to ma znaczenie?

Wpatrujemy się w siebie. Jego zielone oczy przepełnione są troską i obrzydzeniem, gdy spogląda na mnie i widzi pomiętą odzież, tę samą, którą miałem na sobie zeszłego wieczoru, i ostentacyjnie pociąga nosem, dając mi do zrozumienia, że czuje odór alkoholu, który najprawdopodobniej wydostaje się przez pory mojej skóry.

Tak. *To ma znaczenie.*

Kłamstwa zawsze mają znaczenie. Zwłaszcza gdy okłamują cię ludzie, którzy w twoim przekonaniu kochają cię.

— Nie zapomniałeś o czymś? — pyta z gniewem w głosie, ale jestem na tyle nawalony, że bez zastanowienia rzucam mu prze-mądrzałą odpowiedź.

— Nie, o ile mi wiadomo. — Popycham drzwi i zamykam mu je przed oczami.

Jeśli walenie pięścią w drzwi było głośne, odgłos drzwi uderzających o ścianę, gdy popycha je z powrotem, jest ogłuszający. W pełni zasługuję na jego gniew, lecz w tym alkoholowym zamroczeniu nie znajduję powodu, dla którego miałbym się tym, kurwa, przejąć.

Włącza światło i trąca mnie ramieniem, przepychając się do środka. Powstrzymuję się z całych sił, żeby się teraz na nim nie wyładować. Nie użyć pięści i nie dać upustu uczuciu gniewu, niedowierzaniu, cierpieniu i temu wszystkiemu, co w sobie tłumię.

Całe to gówno, któremu sam jestem winny, ale za które wolałbym obwinić jego, moją przybraną mamę i cały ten cholerny świat.

Te myśli wprawiają mnie w osłupienie. Potrząsam głową, próbując zrozumieć, jak mogłem chcieć podnieść rękę na człowieka, który mi pomógł, dał mi wszystko. A jednak przed oczami znowu przelatują mi obrazy: krew, plastry, nożyczki.

Moja mama.

Prawda, którą skrywała przede mną moja świadomość.

I najwyraźniej on też. Drżąc i zaciskając pięści, zmuszam się, by pozostać nieruchomo i powstrzymać gniew, który od kilku ostatnich tygodni płynie w moich żyłach jak rzeka.

— Wiesz, czego nie potrafię zrozumieć? — pyta nonszalancko, gdy podnosi pustą butelkę po Jamesonie i rzuca ją na nietknięte posłanie łóżka, wydając z siebie krótki chichot. Po chwili wzdycha — *Dlaczego?*

Cóż za tendencyjne pytanie. Nie jestem pewien, czy mam ochotę na nie odpowiedzieć, chociaż świerzbi mnie język.

Tyle tylko, że nie wiem, czy w tym momencie potrafiłbym zmierzyć się z konsekwencjami, więc nie odpowiadam. Pytanie unosi się w zatęchłym powietrzu pokoju hotelowego. Jego milczenie, gdy lustruje wzrokiem wnętrze, zaczyna mnie przytłaczać. Po kilku sekundach spogląda na mnie i wzrokiem ponawia pytanie. Ja jednak wolę zachować się jak dupek. To o wiele łatwiejsze niż głośne przyznanie się do czegoś, w co sam nie chcę uwierzyć.

— Co: dlaczego? — odpowiadam wreszcie z sarkazmem w głosie i tonem wyrażającym myśl: *nie twoja, kurwa, sprawa.*

— To nie jest żart, synu — mówi z uniesionymi brwiami.

Ponownie potrząsa głową, a na jego twarzy widać obrzydzenie. Jeszcze więcej gówna, z którym nie chcę się mierzyć. Mam mnóstwo pytań, które jątrzą się we mnie niczym zakażona rana. Zżerają mnie i nie potrafię ich odeprzeć.

— Nie. Wygląda na to, że obecnie to ja jestem jednym wielkim żartem. — Raport z autopsji miga mi przed oczami. Podsyca mój ogień.

Mruży oczy, próbując zrozumieć, skąd bierze się moja wrogość.

— A żebyś wiedział, do cholery — mówi. I po raz pierwszy uważam, że ma na sobie swoją szczęśliwą koszulkę i spodenki treningowe. Jego przesądny, dziwaczny strój, który zakłada pod kombinezon ognioodporny.

Wtedy dociera do mnie, że totalnie zawałęm. Mam nagły przebłysk myśli. Jest dzień. Powinienem gdzieś być. Robić coś innego, niż zatapiać się w butelce.

— Aa... a czy nie zapomniałeś o zaplanowanych jazdach dziś rano? O testach zespołowych przed końcowymi poprawkami? A może w ogóle zapomniałeś o jutrzejszym wyścigu? Po ostatnim wieczorze też chciałbym zapomnieć, że byłem w Alabamie.

Jego ostatnia uwaga odświeża mi pamięć. Przed oczami przelatują obrazy: głośnie muzyka, otwarty gigantyczny rachunek dla VIP-ów w barze, hostessy wślizgują się do środka i chcą kawałek mnie. *Wszyscy chcą kawałek mnie.*

Wszyscy się pchają.

Trzask.

Smitty mnie powstrzymuje. Jego stalowe bicepsy zaciskają się na moich ramionach i odchylają je do tyłu. Ale dlaczego? Jak? Co się, do cholery, stało? Wszystko, co pamiętam, to to, że mnie tutaj przywłókł. Do hotelu, który na tydzień stał się moim domem.

— Po prostu dobrze się bawię — odpowiadam z szyderczym uśmiechem, próbując zatuzować białe plamy w pamięci. — Co cię to, kurwa, obchodzi?

Jest przy mnie w ułamku sekundy. Z przedramionami wciśniętymi w moją klatkę piersiową przypiera mnie do ściany. Szybki jest. Chyba nigdy przedtem nie miałem okazji poznać go od tej strony.

Spoglądamy na siebie nieruchomo. Ojciec z synem, mentor z protegowanym, szef z podwładnym, mężczyzna z mężczyzną — i przez krótką chwilę dostrzegam w jego oczach cierpienie, które chcę zignorować.

— Co mnie to obchodzi? DLACZEGO mnie to obchodzi? — warczy, podnosząc głos z każdym wypowiedzianym słowem i przyciskając mnie coraz mocniej do ściany. — Spóźnianie się na treningi u siebie to jedno, Zander. To, że zagrałeś na nosie sponsorom, wystawiając ich podczas kolacji, którą wydali na twoją cześć, siedząc sobie w barze obok i śmiejąc się tak głośnie, żeby mogli cię usłyszeć — *niewybaczalne*. Niezliczone podejrzane kobiety. Jezu, Zander... Kiedy byłem w twoim wieku, też myślałem tylko o dupach, ale nawet ja miałem jakieś zasady.

Przewracam oczami, parskam. Nie dowierzam. *Czy on sądzi, że kupię tę ściemę, że jest taki święty? Po tych wszystkich historiach, które o nim słyszałem?* Jakby się nie uganiał za laskami, kiedy był młodszy.

— Uważasz, że to jest zabawne? — wrzeszczy, przypierając mnie jeszcze mocniej do ściany. — Moim zdaniem to nie jest zabawne, że opuszczasz jazdy testowe na dzień przed wyścigiem, w którym masz szansę na zdobycie kolejnego mistrzostwa, olewasz to bez słowa, zawodzisz swoją ekipę, *swoją załogę*. Około setki fanów, którzy dwie godziny temu siedzieli w namiocie dla VIP-ów, czekając na swojego idola. I wiesz co? Nie pojawił się, ponieważ był zbyt zajęty zalewaniem pały tanią whisky, jak jakiś pijak. Wobec tego powiedz mi, *złoty chłopcze*, co w tym zabawnego?

— Puść. Mnie — cedzę przez zęby i chętnie przyjmuję ból w klatce piersiowej, jaki zadają mi jego dłonie zaciśnięte na mojej koszuli.

Odsuwa się i po chwili zabiera ręce. Stoję unieruchomiony jego gniewnym spojrzeniem. Jest w nim rozczarowanie. Troska. I cholerna złość.

Gniew, który z niego emanuje, zapada mi w pamięć. Potrafię go zrozumieć. Ale z zupełnie innych powodów. *Co za ironia*. On jest wkurzony, ponieważ oczekuje więcej od swojego syna, a ja jestem wściekły, bo oczekuję więcej od swojego ojca.

— Spóźniasz się, przychodzisz na tor na kacu, olewasz Rylee, zachowujesz się jak dupek w stosunku do mnie i odwracasz się od swoich braci. Zawaliłeś totalnie i pytasz mnie, co mnie to obchodzi? Sądzę, że sam sobie powinieneś zadać to pytanie, synu.

— To nie twoja sprawa.

— A właśnie, że to jest moja sprawa. Wszystko, co z tobą związane, to moja sprawa, a ty straciłeś nad sobą kontrolę — mówi tuż nade mną z urazą w głosie, od której ściska mnie w klatce. — Posunąłeś się za daleko.

— Tak jak ty teraz, wtrącając się w moje sprawy? Wypierdalaj — wyrzucam z siebie słowa, nie dbając o to, że już nie mogę ich cofnąć i że mój gniew jest źle zaadresowany.

Przekrzywia głowę i z zaciśniętymi zębami oraz dłońmi zwinętymi w pięści robi krok w moim kierunku.

— Cierpisz, synu? Chcesz się na kimś wyładować za coś, o czym nie chcesz rozmawiać? Próbujesz zaprzepaścić swoją ciężką pracę takim gównianym zachowaniem? Lepiej nie zapominać, z kim rozmawiasz — mówi przez zaciśnięte zęby. To aluzja do jego patologicznego dzieciństwa, które sam przeżył, zanim został zaadoptowany. W ten sposób daje mi do zrozumienia, że wie, co dzieje się w mojej głowie. — Znam wściekłość, jaką odczuwasz, Zander. Znam nienawiść, która wypala wnętrzości i zamienia serce w kamień. Ale to niczego nie rozwiązuje. *Niczego*. Staralem się być cierpliwy. Być przy tobie, kiedy mnie potrzebowałeś. Prosiłem, byś ze mną porozmawiał i podzielił się tym, co cię gnębi, a ty odmówiłeś. Obserwuję cię i widzę, jak niweczysz wszystko to, co obecnie dobre w twoim życiu, i chcesz, żebym beczynnym stał i na to pozwalał? Oszalałeś?

Przestaje na chwilę, żeby złapać oddech. Kipię ze złości na te słowa. I dlatego, że nie potrafię się przemóc i zadać mu kilku pytań, które muszę zadać.

Ponieważ cierpienie zaburza zdolność osądu i zaślepia tak, że już nie dostrzegasz prawdziwego powodu, dla którego jesteś wściekły.

— Nie dopuszczałem do tego wszystkiego prasy. Przekonałem Rylee, by się nie wtrącała. Dałem ci pełną swobodę i czekałem, aż się doigrasz. I się doigrałeś. Gratulacje. Straciłeś sponsoring.

Co? Cisza wokół mnie zdaje się krzyczeć tak głośno, że zagłusza jego słowa. Nie wierzę.

To jego wina. Tylko na tym potrafię się skupić. Tak to zrationalizować. Nie zapobiegł temu. Nie załatwił. Prawdopodobnie zrobił to celowo, bo chce mnie kontrolować. Kontrolować wszystko, co ze mną związane.

Włącznie z moją przeszłością.

Boże, muszę się napić. Potrzebuję całej cholernejszej butelki, żeby to wszystko od siebie odsunąć. Żeby pojąć bzdę, który próbuję wcisnąć samemu sobie, gdy głupio jest nawet o tym pomyśleć.

— Kłamiesz! — W przeciwieństwie do niego wrzeszczę z wściekłości. I mam tak namieszane w głowie, że pragnę bólu, przez który cierpię.

— Nigdy bym cię nie okłamał, Zander — mówi. Jest spokojny, opanowany i śmiertelnie poważny. Wiem, że mówiąc to, kłamie, a jego słowa są jak strumień powietrza na żar, jaki tli się we mnie przez ostatnich kilka tygodni.

— Gówno prawda i dobrze o tym wiesz! — krzyczę. Jestem kompletnie wytrącony z równowagi i świerzbią mnie ręce, żeby w coś uderzyć. Ale wiem, że zdemolowanie tego hotelu nie przyniosłoby nic dobrego. Potrząsam głową ze złością. Wściekłość, którą mam w sobie, bierze górę. — Skłamałeś...

— I ty nie uważasz, że nad sobą nie panujesz? — mówi Colton i agresywnie robi krok w moim kierunku, drwiąc z mojego irracjonalnego stanu. — A odkąd to choćby sama myśl o tym, żeby podnieść rękę na swojego starego, jest w porządku?

Nie jesteś moim starym. Słowa pojawiają się i giną w napadzie wściekłości. Szokują mnie. Prowokują myśli, które nigdy wcześniej nie przychodziły mi do głowy. Mimo że to stek bzdur, nie chcą odejść. Podsycają mój gniew i wypaczają słowa.

— Całkowicie nad sobą panuję — mówię z zaciśniętymi zębami. Gniew. Wrogość. Frustracja. Targają mną jak rollercoaster. Zacierają prawdę i powodują jeszcze większy zamęt.

— Całkowicie nad sobą panujesz? — pyta, potrząsając z niedowierzaniem głową, po czym sięga po telefon. Ogarnia mnie uczucie dezorientacji i lęku jednocześnie. Czuję, że nie jest dobrze, ale za cholere nie potrafię rozgryźć, co chce mi pokazać, kiedy kończy przeglądać zdjęcia w telefonie.

— Powiedzmy, że masz wobec Smitty'ego ogromny dług wdzięczności, bo ja skończyłem z płaceniem za twoje wybryki, Zee.

To jedyne zdjęcie zrobione zeszłego wieczoru. Na twoje szczęście pomieszczenie dla VIP-ów było już puste, zanim to się stało. Smitty tak się o ciebie martwił, że został i pilnował, żebyś nie wpadł w kłopoty. Jedyne paparazzi, któremu udało się wśliznąć do środka, musiał oddać aparat bramkarzowi, bo takie są przepisy.

Wyraz twarzy Coltona i jego oczy wpatrzone w zdjęcie w telefonie wyrażają mnie z równowagi. Przez gniew zaczyna przebijać niepokój. Przebieram nogami w oczekiwaniu na coś, czemu zawdzięczam to przemówienie.

Przed oczyma przelatują mi koszmarne obrazy. Seksowna blondyna. Wywołujący erekcję pocałunek. Wkurwiony chłopak. Przyływ testosteronu. Moje słowa: *Jestem Zander pieprzony Donavan.*

Raczej nie jest dobrze.

— Skończ to przedstawienie i po prostu mi to pokaż.

— Przedstawienie? — grzmi i unosząc telefon, pokazuje mi zdjęcie. Nie chcę uwierzyć w to, co widzę. Chwilowa jasność umysłu w całym tym zamroczeniu. Wiem, że nie było tak, jak to wygląda na zdjęciu.

Tak jak to, że twój sen o mamie też odbiega od rzeczywistości.

Cały spięty i z zaciśniętą szczęką wpatruje się w zdjęcie, próbując wypełnić luki w pamięci. Najgorsze jest to, iż nie mam całkowitej pewności, że tego nie zrobiłem.

— To jest przedstawienie, Zander? Dla mnie wszystko jest cholernie jasne.

To ja bez dwóch zdań. Mam zaciśnięte pięści i wściekłość na twarzy, jakiej nigdy przedtem u siebie nie widziałem. Ale to nic w porównaniu z wyrazem twarzy kobiety stojącej naprzeciw mnie. Jest zaszokowana i przerażona.

— To nie było... — Potrząsam głową. Próbuję się usprawiedliwić, że ten dupek, jej chłopak, musiał stać obok niej i jest poza kadrem. Przez ułamek sekundy widzę w sobie mojego ojca. Biologicznego ojca. Potwora. Zwyrondialca. Obiecałem sobie, że nigdy taki nie będę. Natychmiast odrzucam tę myśl.

— To ty, Zander. Przyjrzyj się dokładnie. Cholera, myślisz, że utrata sponsora to katastrofa? Niech tylko to zdjęcie przedostanie się do mediów: „Oto jak według Zandera należy traktować kobiety”, a stracisz o wiele więcej. — Potrząsa głową i chichocze z niedowierzaniem. — I ty uważasz, że nad sobą panujesz?

Precz.

— Potrzebujesz pomocy.

Precz.

— Porozmawiaj z kimś.

Precz.

— Nie takiego syna wychowałem...

Trzask.

— Nie jestem twoim synem, więc przestań się zachowywać jak mój ojciec! — krzyczę z całych sił, wyrzucając z siebie cały gniew, uczucie krzywdy i zamętu, które tłumilem w sobie przez kilka ostatnich tygodni. Potrzebuję czegoś, czegokolwiek, by to skończyć. Powstrzymać ból, skończyć zamęt. Sprawić, by przeszłość przestała odciskać piętno na mojej przyszłości.

By wyprzeć prawdę.

Z szeroko otwartymi oczyma i lekko otwartymi ustami robi niepewnie krok w tył. Stoi tak przez chwilę, wpatrując się we mnie. Próbuje się opanować i zrozumieć, co przed chwilą powiedziałem.

Sam wyraz jego twarzy powinien wystarczyć, by wybić mi z głowy chęć walki. Szok. Uraza. Niedowierzanie. Jednak te kilka prawd, które właśnie rzucił mi w twarz i których nie chcę zaakceptować, tylko spotęgowało mój gniew. Są jak nagły, ognisty podmuch naładowany urazą, który zmiata wszelki rozsądek.

— Proszę? — pyta, wyprostowując się. Jego głos jest pełen kontrolowanego spokoju. I już wiem, czego się spodziewać. Wściekłość i gniew mojego ojca to jedna rzecz, ale zimny ton i ściszony głos zwiastują coś o wiele gorszego dla rozmówcy.

Ale ja się nie boję.

— Słyszałeś, co powiedziałem. — Spoglądamy na siebie nieruchomo, a nasz wzajemny gniew wypełnia przestrzeń pokoju. To jednak jedyny sposób, w jaki potrafię w tym momencie zaatakować.

— Głośno i wyraźnie — mówi nadal spokojnym głosem, ale jego oczy zdradzają zranienie i gniew, których nie chcę dostrzec. Chowa telefon do kieszeni, cały czas potrząsając głową, a ja chcę odrzucić wszystko, co dla mnie znaczy: ocalenie, nadzieję, rodzinę, przyjaźń, bezwarunkową miłość. Wszystko, co czuję, to druzgocące rozczarowanie wszystkim tym, co zrobiłem, żeby to spieprzyć.

— Nie pozostawiłeś mi wyboru. — Ponownie spogląda na mnie ostrym wzrokiem i z twarzą bez wyrazu. — *Zwalniam cię.*

— Co proszę? — *Nie śmiałyby.* Prowadzę na punkty. Utrzymuję tytuł mistrza. Nie bez powodu nazywają mnie Złotym Chłopcem Indy.

Jednak gdy tak stoi nieruchomo i milczy, zaczyna ścisnąć mnie w gardle.

— Słyszałeś, co powiedziałem.

Mój śmiech jest na tyle głośny, by brzmieć pogardliwie. Część mnie nadal nie dowierza. Chce być aż takim kutasem i tak to rozegrać? W porządku. Pokażę mu, że nie potrzebuję jego i jego kłamstw. Niczego od niego nie potrzebuję.

Bywało już, że musiałem być zdany na siebie.

Krew. Nożyczki. Plastry.

Najpierw odzywa się we mnie instynkt samozachowawczy. Ogarnia mnie poczucie krzywdy, ale plama na mojej duszy jest ciemniejsza niż kiedykolwiek przedtem.

— OK. Rozumiem. — Potrząsam głową. Patrzymy sobie w oczy. Jego mówią: *Pozwól sobie pomóc*, a moje: *Nie potrzebuję twoich kłamstw*. Zaskoczenie zmienia się w złość. — I tak cię nie potrzebuję.

— W takim razie powodzenia, synu... Zander — poprawia się szybko. Wyraźnie dotyka mnie dźwięk mojego imienia w jego ustach. — I nawet nie próbuj szczęścia w innych zespołach. Raz, że jest środek sezonu, a dwa, i tak cię nie zatrudnią.

— Nie możesz tego zrobić — mówię z jeszcze większą złością. Chyba nie zabroni innym mnie zatrudnić.

— Chcesz się przekonać? I obdarowuje mnie tym swoim pewnym siebie, szelmowskim uśmieszkiem, którym tak bardzo działa na nerwy konkurencyjnym kierowcom. Robi krok do przodu. — Siedzę w tym interesie o wiele dłużej od ciebie. Nikt nie zaryzykuje nawet dla takiego *pewniaka* jak ty. Ale zaraz... nie jesteś już chyba takim pewniakiem, skoro tracisz sponsorów, olewasz jazdy próbne i istnieje ryzyko, że w ogóle nie pojawisz się w dniu wyścigu. Nie kryłeś się specjalnie ze swoim zachowaniem. — Robi kolejny krok z drwiącym uśmiechem na ustach. — Mówi ci to właściciel zespołu. Stałeś się niepewny, a nikt nie chce czarnej owcy w swojej ekipie, bez względu na to, jak dobrym jest kierowcą.

To, co czuję, to już nie jest wściekłość. Ogarnia mnie niewiarygodna furia. Mam ochotę zaatakować go wszystkim, co mam, bez względu na krzywdę, jaką mogę mu wyrządzić. Instykt samozachowawczy w całej okazałości.

— Pierdol się, *Colton* — wypowiadam jego imię z szyderczym uśmieszkiem, pełnym braku szacunku. Wyrzucam z siebie słowa, których nie mogę już cofnąć. Jednak muszę zachować twarz, gdy kwestionuje się wszystko, co ze mną związane. — Dla ciebie zawsze liczy się tylko zespół, prawda? Kolejne zwycięstwo. Kolejny czek. Pieprzyć kierowców, tak? Pieprzyć ich i wszelkie gówno, z którym muszą się męczyć. *Można ich okłamywać*, byleby robili, co do nich należy. Czyż nie tak, *szefie*?

— *Kije i kamienie** — mówi, unosząc brwi i uśmiechając się szyderczo. Po chwili dodaje chłodnym tonem: — Sądzisz, że w ten sposób odzyskasz pracę? Zastanów się.

— Pierdol. Się. — Gotuję się, ale mimo to dostaję gęsiej skórki, ponieważ jego zimne spojrzenie mówi mi, że to wcale nie jest żart.

* Fragment angielskiej rymowanki dla dzieci: „Kije i kamienie kości mi połamią, ale twoje słowa nigdy mnie nie zranią” — *przyp. tłum.*

I nie jest to jeden z jego pseudopsychologicznych bzdetów, których zwykł używać w przeszłości, by skłonić mnie do rozmowy.

Wydaje z siebie zdławiony chichot, który działa mi na nerwy, gdy próbuję ogarnąć to wszystko umysłem. Moje sny, zdjęcie i ten prawdziwy cios, jaki zadał mi Colton.

— Nie raniś tylko mnie, ale wszystkich, którzy na tobie polegają. Zostawiam twój samochód nieobsadzony. Nie będę szukał nikogo na twoje miejsce. Gdybym martwił się tylko o pieniądze, postąpiłbym inaczej, nieprawdaż? Martwię się o ciebie. Straciłeś nad sobą kontrolę i posuwasz się za daleko, a ja nie mogę stać z boku i przyglądać się beczynnemu, jak zmierzasz ku katastrofie. Przykro mi, że musi do tego dojść, ale wolę zachować się jak dupek, jeśli to ma cię ocalić. Postąpiłem tak w przeszłości i nie zawaham się zrobić tak ponownie.

Stoimy w milczeniu. Mamy rozdarte serca. Tak wiele z tego, co nas łączyło, jest w strzępach. Po raz pierwszy, odkąd tu wszedł, widzę, jaki jest zmęczony. Na twarzy ma wyrytą troskę. Potrzeba powiedzenia czegoś więcej rani nas jeszcze bardziej. Słowa umierają w moich ustach, mimo iż nasza kłótnia wciąż rozbrzmiewa echem w mojej głowie.

Kiwa głową, odwraca się i idzie do drzwi. Odprowadzam go wzrokiem, mimo że mam desperackie pragnienie, by jak najszybciej wyszedł, bym nie musiał patrzeć na jego porażkę. Chwyta za klamkę i ze zwieszoną głową mówi:

— Nie spiesz się, Zee. Rozwiąż problemy, które musisz rozwiązać. Uporaj się z tym, co cię gnębi, cokolwiek to jest. Powinieneś pozwolić komuś zbliżyć się do siebie, zamiast się od wszystkich odcinać. Czasem trzeba, by ktoś cię wysłuchał, coś podpowiedział, byś mógł spojrzeć na pewne rzeczy z dystansu. Cholera, weź samochód i pojedź gdzieś, wyjedź w podróż. Zrób cokolwiek. Ale wykorzystaj ten czas, żeby doprowadzić się do porządku. I nie wracaj, dopóki tego nie zrobisz. Nie wiem, o co chodzi, i cholernie bym chciał, żebyś ze mną o tym porozmawiał, ale wiem lepiej niż ktokolwiek, że czasem się

nie da. Jedyna rada, jaką mogę ci dać: nie pozwól, żeby mrok całkowicie cię pochłoniął. Zastługujesz na coś lepszego. — Chrząka, gdy emocje ściskają go za gardło, a ten dźwięk sprawia, że jeszcze bardziej nienawidzę wszystkiego, co związane jest z tą rozmową. — Bez względu na to, co myślisz, nadal jesteś moim synem. I nieważne, jak bardzo coś spieprzysz. Zawsze będę cię kochał.

Drzwi się otwierają i zamykają. Kurz znów tańczy w powietrzu. Panująca cisza mnie dusi.

Tłumię w sobie chęć, by za nim pobiec. By uwolnić jeszcze większy gniew. By zacząć krzyczeć i by zdemolować pokój, żeby się wyładować. To niczego nie rozwiąże.

Chwytam butelkę Jamesona i unoszę ją do ust, ale przypominam sobie, że jest pusta. Odgłos tłuczonego szkła, gdy butelka ląduje na ścianie, jest ogłuszający.

Potrząsając głową, opadam na łóżko. Próbuję ogarnąć to, co przed chwilą zaszło. Do czego dopuściłem. Czemu nie zapobiegłem.

Myślę o mojej mamie i obecnej rodzinie.

To, co nadal słyszę najdobitniej w mojej głowie, to głos odrzucenia z ust człowieka, którego podziwiałem, wielbiłem, który pomógł mi się uleczyć. Człowieka, który właśnie wyszedł z tego pokoju i zranił mnie bardziej, niż myśli.

Możesz go za to winić, Zander?

Zamykam oczy i pocieram dłońmi twarz. Jestem trzeźwy. Zamroczenie przeszło. Jednym trząśnięciem drzwi zabrano mi wszystko, co dla mnie ważne i co było dla mnie ostoją: rodzinę, wyścigi. To boli naprawdę.

Tak samo prawdziwy jest gniew. Niemożność zracjonalizowania tego wszystkiego. Pogodzenia się. Zadania pytań, które muszę zadać.

Przeproszenia.

Pieprzyć to. Nie przeprzeszę. To nie ja skłamałem.

I nigdy bym nawet nie pogroził kobiecie, nie mówiąc już o spełnieniu takiej groźby. Zdjęcie w telefonie Coltona przelatuje mi przed oczami. Kolejne kłamstwo do kolekcji.

Prolog

Natychmiast wraca wściekłość. Niewłaściwie nakierowana, ale jednak. Moje ciało jest roztrzęsione, ale umysł jest wyczerpany do tego stopnia, że nie potrafię już o tym myśleć. Nie chcę. Potrzebuję jeszcze jednej butelki, by móc zatopić się w alkoholu. Potem pomyślę, dokąd się udać, bo wygląda na to, że mam przed sobą długi urlop.

Jednak nie podnoszę się z łóżka i nie schodzę do baru. Nie potrafię, ponieważ gdzieś wewnątrz mnie głos zwątpienia ściska mnie za serce. Uświadamia mi dwie prawdy, które muszę zaakceptować.

Jestem synem Coltona. I zabiłem swoją matkę.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



- 1. ZAREJESTRUJ SIĘ**
- 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI**
- 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ**

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA

 **Helion SA**

Miłość nie zawsze przychodzi od pierwszego wejrzenia. Nie zawsze jest słodka i delikatna. Czasem przypomina wielki wybuch, gdy zderzają się dwie rozgrzane do czerwoności gwiazdy.

Getty Caster chce wreszcie ułożyć sobie życie. Zamieszkać w domku w sennej miejscowości PineRidge i zagoić rany. Mężczyźni w jej życiu dotychczas przysparzali jej tylko bólu. Ucieka przed przeszłością.

Zander Donovan za kierownicą samochodu wyścigowego jest w swoim żywiole. Jednak musi wycofać się z branży, jeśli naprawdę chce coś osiągnąć. Z dala od swojego ojca. Ucieka przed prawdą.

Silni, zadziorni, odważni, zranieni. Uciekają przed swoimi demonami.

Żadne z nich nie spodziewa się, że przez przypadek będzie skazane na wspólne mieszkanie w cichej chatce z nieznanym. Nikomu nie jest to na rękę, ale ani Getty, ani Zander nie chce spasować i się wyprowadzić... To spotkanie całkowicie odmieni ich życie.

Walka zmieni się we wzajemne przyciąganie, a przyciąganie... w coś znacznie więcej. Jednak żadne z nich nie chce się poddać sile namiętności, każde wciska maksymalnie gaz i w efekcie doprowadza do kolizji. Czy niespodziewane zauroczenie pozwoli im pokonać przeszłość i zbudować wspólną przyszłość? Czy z wielkiego wybuchu może narodzić się miłość?

Driven jest debiutanckim cyklem powieści pióra **K. BROMBERG**. Książki te trudno nazwać romansami — są czymś więcej: emocjonującymi, niepokojąco wciągającymi bestsellerami. Sama K. Bromberg jest powściągliwą panią domu i doskonale zorganizowaną mamą. Seria **Driven**, którą napisała pod wpływem impulsu, została bardzo dobrze oceniona przez „New York Times”, „USA Today”, a przede wszystkim przez niezliczone rzesze czytelników. Aktualnie K. Bromberg pracuje nad kolejnymi powieściami.



Księgarnia internetowa:
<http://editio.pl>

Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900
0 601 339900

Sprawdź najnowsze promocje:
● <http://editio.pl/promocje>
Książki najchętniej czytane:
● <http://editio.pl/bestsellery>
Zamów informacje o nowościach:
● <http://editio.pl/nowości>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny wyłącznie na:
ebookpoint^{PL}



ISBN 978-83-283-3140-2



Cena 39,90 zł